

Nowy styl — czyli jaki

Nawoływania w rodzaju: musimy przyswoić sobie nowy styl pracy — słycać niemal powszechnie, na każdym prawie zebraniu w fabryce, biurze, instytucji. Co tu ukrywać, prasa ma w tym względzie też sporo na sumieniu; na łamach gazet i periodyków można znaleźć podobnie ogólnikowe zawołania. A sedno przecież w tym, by określić ów nowy styl pracy. Nowy — czyli jaki?

To z pozoru proste pytanie przestaje być proste, gdy próbuje się na nie odpowiedzieć jednoznacznie. Nie bardzo umię znaleźć na nie właściwą odpowiedź wielu aktywistów, nieraz pełnych dobrej woli i chęci działania. Naturalnie, mam na myśli nie naukowe definicje, nie teoretyczne rady Towarzystwa Naukowej Organizacji — lecz pewne podstawowe, praktyczne kanoony, jasne, możliwe do powszechnego przyswojenia i zastosowania.

Zacznijmy od nieodkrywczego stwierdzenia, iż zmienione (i zmieniające się nadal) stosunki społeczne, które zintensyfikowały życie jednostek i środowisk w naszym kraju — narzucają potrzebę rewizji pewnych utartych form pracy. Dysponujemy dziś nieporównanie szerszymi doświadczeniami niż przed piętnastu czy dziesięciu laty, uczymy się przecież w tym czasie w szkołach, na uniwersytetach i (jednak, jednak) bardzo wiele na własnych błędach.

Pora też zdać sobie sprawę z tego, że załogi w swej masie — obojętnie: robotnicze czy biurowe — w ciągu dwudziestolecia dzwignęły się fachowo i „świadomościowo” bardzo wyraźnie. Tym samym powstały warunki nie tylko umożliwiające, lecz wręcz pobudzające do prowadzenia pracy organizatorskiej, czy społecznej, podług unowocześnień wzorów.

Niezwykle przy tym istotnym czynnikiem, przesądającym jakże często, czy w tym lub innym zakładzie (bądź środowisku) przejdzie się na zmodyfikowane formy pracy — jest czynnik subiektywny: nasza własna chęć (lub niechęć...) do wprowadzania reform, nasza własna zdolność ich wprowadzania. Owa zdolność bywa współzależna od tego, czy i w jakim stopniu w naszej świadomości wiąże się układanie roboty „po nowemu” z uzyskiwaniem lepszych efektów działania.

Gdzież dopatrywać się można znamion tego, co umownie nazwano „nowym stylem” pracy? Dokonajmy przykładowej wnikliwej analizy. Tak, właśnie narady, uważanej gdzieś tam za panaceum na wszelkie gospodarcze i społeczne bóle.

Zaczyna się je niepunktualnie, gada o wszystkim, niedość często poddając krytycznej analizie sedno sprawy, wystąpienia są długie, uważa się za celowe zabranie głosu nieraz tylko w przeświadczeniu, że to może być dobrze widziane, nie próbuje się precyzować wniosków w zamian formułując wyświechtane deklaracje, w toku narady padają stwierdzenia „trzeba lepiej”, przy czym rzadko próbuje się określić jak się do tego wziąć, z reguły zamiast przemówień bywają odczytywane referaty (długie, przeładowane wskaźnikami), termin zakończenia posiedzenia nie jest niemal nigdy znany.

Odwrotnością scharakteryzowanej wyżej narady, narady w tradycyjnym, niedobrym stylu — jest przemysłane zebranie z doręczonymi wcześniej uczestnikom тезami do dyskusji, w której toku mówi się zwięźle, krytycznie (do czego ośmiela szczere wstępne wezwanie osoby prowadzącej naradę), czas wystąpienia jest umownie ograniczony, panuje atmosfera: masz konstruktywną propozycję — to ją zgłaszaj.

Starym nawykiem jest też walkowanie tej samej kwestii na zebraniach: kierownictwa zakładu pracy, organizacji partyjnej, rady zakładowej, rady robotniczej, organizacji młodzieżowej, a nieraz innych jeszcze organizacji. W podobnych sytuacjach, gdy ci sami ludzie, jeno w rozmaitych wcieleniach, mają spotykać się czterokrotnie — nowy styl roboty powinna charakteryzować przemysłana koordynacja.

Do realiów nowego stylu pracy zaliczyłbym kładzenie rozsądnej tamy fasadowej kolegiowości. Kolektywne decyzje, kolektywne zarządzanie — te niezaprzeczalne zdobycze nowych warunków ustrojowych, bywają nadużywane tu i ówdzie dla ukrycia czyjejś nieudolności, czyjejś bojaźni przed de-

cyzjami. Bywa, że niektórych wygodna się staje tarcza z kilku podpisów, widniejących na takich czy innych dokumentach. Przy całym szacunku dla kolektywnego działania należy konsekwentnie — i to właśnie w ramach „nowego stylu” — przestrzegać zasady jednoosobowej odpowiedzialności, ścisłego rozgraniczenia kompetencji i zwiększania wymagań od każdego pracownika na jego stanowisku.

Niedobrą tradycją tchnie też rozpowszechniony nawyk „wymyślania prochu” zamiast rozglądania się za gotowymi wzorami, za cudzymi doświadczeniami — być może niedoskonałymi, ale dającymi więcej szans powodzenia w realizacji, niż dopiero konceptowany pomysł. Wymyślanie prochu w połączeniu z „radosną twórczością”, przyniosło nam niemało szkody. Przykład: rozdzielanie niektórych instytucji na odrębne — dla Poznania i województwa po to, by po pewnym czasie powrócić do status quo ante.

Nowy styl roboty cechować powinna także dogłębna fachowa analiza, oparta na możliwie budzących najmniej wątpliwości przesłankach. Tylko wówczas można prawidłowo określać ogólne tendencje i praktyczne rozwiązania.

Inne atrybuty nowego stylu pracy, to wnikliwe kontrolowanie podejmowanych uchwał, decyzji, inspirowanie pracowników do rozwijania przez nich inicjatyw, pobudzanie ich ambicji, stwarzanie atmosfery szczerości, zaufania, niechęci do rozrób.

Nowy styl — to w ogóle walka o podniesienie kultury pracy społecznej, to sprężystość działania, operatywność kierownictwa i pracowników, rzeczowość, oszczędność słów, czasu swego i cudzego, jasność wypowiedzi, pryncypialność wyrażanych sądów, otwartość w działaniu, to aktywny stosunek do życia.

I, jako że zwięźłość wypowiedzi uznaję za jedną z cech nowego stylu pracy — kończę, spodziewając się uzupełnień do tego bardzo niepełnego i niedoskonałego rejestru uwag na określony tytułem temat.

OGŁOSZENIA POGLĄDY POLEMIKI POSTULATY Tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 161

15. XI. 1964

Rok IV



Fot. — K. Przychodzik

Polonistkę z Liceum Ogólnokształcącego w Słupcy — mgr Urszulę Wierzbicką przełotnie poznałem na wojewódzkim przeglądzie zespołów teatralnych. Jej zespół szkolny publiczność przyjął entuzjastycznie. „Dam i Huzarów” Fredry nie grał żaden teatr. Licealiści bawili się w przedstawienie a widownia — przedstawieniem; było pomyslowe, inne, jakieś świeże, młodzieńcze. Zamieniliśmy wtenczas za kulisami tylko kilka zdań, bo za chwilę na scenę wchodził nowy zespół.

Teraz mogłem polonistkę przypatrzyć się bliżej. Skromnie ubrana, z udzielającą się pogodą i życzliwością, z uśmiechem — nie ma w sobie nic z tej typowej profesorki, która weszła do szkolnych anegdot. Jest przyjaciółką młodzieży, nawet „rogatek” i leniwej. Ci, na których narzekają inni pedagodzy, u niej są wzorowi. Ale o tym nie ona mi mówiła, lecz dyrektor mgr J. Rybicki.

Przybyła tu w roku 1955. Z braku mieszkania na pewien czas ulokowała się z 5-osobową rodziną w jednym pokoju gmachu szkolnego. Mąż uzupełniał wtenczas swoje wykształcenie. Życie nie było łatwe. Dwójka dzieci wymagała szczegól-

POLONISTKA

nej opieki, do lekcji trzeba było się też przygotować, wszystko to w jednym pokoju, spełniającym rolę kuchni. Wreszcie przydział: dwa pokoje z kuchnią. To już był prawdziwy „dom”.

Przyłgnęła mocno do szkoły, która stała się jej drugim domem. Nie mam tu na myśli tylko lekcji, które ciągnęła się od rana do wieczora (szkoła dwuzmianowa), ale i zajęcia pozalekcyjne. Potraktowała je słupcka polonistka jako przedłużenie nauki o literaturze. Na lekcjach omawia życie, myśli i dzieła pisarzy; na zajęciach pozalekcyjnych w ramach kółka recytatorskiego, teatryku poezji i kółka dramatycznego — utwory stają się własnością młodzieży. Oto co stwierdza p. Wierzbicka:

— Iluż to uczniów liceów w różnych miejscowościach — a wiem to z obserwacji — z niechęcią zabiera się do przeczytania tych dzieł, iluż psioczy w duchu na lekturę obowiązkową! A tu z dobrej własnej woli „kuja” na pamięć całe stronicę często trudnego tekstu. „Kują” i leca na spotkanie w salce na II piętrze, by tylko zdążyć rano na godz. 6.30, albo wieczorem o godz. 18.30. W kółku recytatorskim — 34, w teatralnym — 48 uczniów z różnych klas. Kłopot z zajęciem wszystkich no bo nie ma utworów, w których tak duża liczba licealistów byłaby potrzebna. W dalszym ciągu przybijały ochotnicy i mnie zaczepiają: „Proszę pani profesor, czy nie można by zapisać się do kółka?”

Jest już wieczór. Tyle co skończyła się akademią z okazji 47 rocznicy Rewolucji Październikowej. Chwila zgłębku uczniowskiego, przenoszenie krzeseł z izby zastępującej aulę szkolną, ustawianie rekwizytów teatralnych: co w rodzaju dwóch parawanów, w środku tablica, 8 koszy do papierów i za chwilę próba „Monachomachii”, czyli wojny mnichów” I. Krasickiego. Zaproszony przez polonistkę stanowią „jednoosobowa widownia”, dyrektora chyba nie trzeba do niej zaliczać, zna przecież te zajęcia doskonale.

Dzwonek. Zza kulis — rekwizytów rozlega się coś w rodzaju śpiewanych pacierzy zakonników i powoli wysuwają się na front mnisi w habitach. Habity — dwa worki, jeden przywiązany z tyłu do pasa, drugi zarzucony na tył głowy. Gdy „zakonnik” odwraca się — widzę rozemśniane twarze i zwykłe uczniowskie ubrania. Aktoży bawią się tym, że z tyłu są zakonnikami, a z przodu licealistami. Bawią się prawieniem kazań, dysputą, kłótnią, wojną, w

której zbroje stanowią linały, ekie-ry, kosze.

Wyjątki dzieła I. Krasickiego tak dobrała p. Wierzbicka, że noszą one w sobie treść niezwykle aktualną. Jest to groteska i satyra na wiele złych zjawisk współczesnych. Tekst niezwykle trudny, barokowy, zdania długie, zawiłe, z trudem łowią sens — a równocześnie podziwiam aktorów, którzy tak świetnie opanowali wiersze poety z drugiej połowy XVIII wieku.

Znowu dzwonek, kończą lekcje — przedstawienie utworu Krasickiego. I krótka gawęda z „zakonnymi braćmi”: Hiacentem, Gaudentym, Hermenegildem, Rafaelem od Piotra, Piotrem od Klary, Cherubinem (nie wiem od kogo!) i jeszcze dwoma innymi „eks-zakonnikami”. Aktoży — to 2 uczennice (świetni zakonnicy na scenie!) i 6 uczniów. Pojadą z „Monachomachią” na wojewódzki przegląd teatrów małych form do Leszna.

Niektórzy aktoży nowi, inni już po dłuższej praktyce. Koncepty sceniczne wychodzą w dużej części od kierowniczkich zespołu, ale także swoje daje młodzież. To współtworzenie wraz z młodzieżą sztuki na scenie — to zasługa p. Wierzbickiej.

— Zespół nasz — mówi mi ona — odwiedził ze swoimi sztukami okolice wsie i opiekuna — Zakłady Przemysłu Ziemioczanego „Staw”. Urządza (wraz z zespołem wokalo-instrumentalnym) akademie w Słupcy, teatr poezji wiosną w Szczecinie na ogólnopolskim konkursie o montaż poezji Gałczyńskiego, przywiozł stamtąd nagrody i słowa uznania od Ministerstwa Kultury i Sztuki. Sukcesów tych było wiele. Uczniowie czują się odpowiedzialni za utrzymanie zdobytej dla Słupcy ogólnopolskiej sławy.

Uczniowie przed pożegnaniem pokazują mi zdjęcia z przedstawień. Są dumni ze swojej roboty. Jestem przekonany, że po zdobyciu zawodu w czasie pracy gdzieś „w terenie” pójdą w ślady swojej profesorki i będą ożywiać życie kulturalne. Już to się dzieje. Absolwenci LO nr 50 piszą do niej o radę i pomoc. A drugi efekt tej pracy w kółku recytatorskim, teatryku poezji i kółku teatralnym — to opanowanie przez młodzież języka polskiego. Umiejętność mówienia przyda się jej na całe życie.

A po latach, szczególnie w Dzień Nauczyciela, wdzięczna będzie wracała myślami do swojego Liceum i do swojej „pani profesor”, która ujęła ją wiedzą i życzliwością.

Tadeusz Kaczmarek

Gościnność i zmysł handlowy

Węgierskie spotkania

Mieszkam 86 kilometrów na południe od Budapesztu — w 66-tysięcznym Kecskemecie, który nie wyróżnia się czymkolwiek szczególnym spośród podobnej wielkości innych miast węgierskich. A jednak i tu przez hotel „Arany Homok”, niedawno i nowoczesnie zbudowany, codziennie przewijają się zagraniczni turyści: Czesi, Słowacy, Polacy, Jugosłowianie, Niemcy, nawet Szwajcarzy. Podobnie w innych miastach, np. w Dunajvaros, które jest odpowiednikiem naszej Nowej Huty, tyle, że zbudowanym z dala od wiekszych ośrodków miejskich. Wszędzie, mimo że jest już październik, a pogoda nie lepsza niż u nas, spotykam cudzoziemców.

Tęgoroczna inwazja turystów, zwłaszcza jeszcze o tak późnej porze roku, wydają się być nieco zaskoczeni nawet węgierscy gospodarze.

W Budapeszcie wszystkie miejsca w hotelach są zajęte lub zamówione do końca miesiąca.

Latem nie ma takich kłopotów z zakwaterowaniem turystów. Oprócz hoteli stoją bowiem wówczas do dyspozycji liczne motele (które buduje się według typowego projektu) i pola kempingowe. Teraz jednak potrzebne są przede wszystkim hotele. Z konieczności więc lokuje się jesiennych turystów w niebliskich nawet okolicach Budapesztu, w promieniu 70—80 km od stolicy. Często są hotele dosłownie dla letników, bez jakiegokolwiek ogrzewania. W zamian daje się gościom podwójne koldry, które urosły na Węgrzech do symbolu obecnych trudności.

Nie hamuje to jednak fali przyprywu turystów. Każdy bowiem otrzymuje nocleg — nie w Budapeszcie, to w innej miejscowości, nie w hotelu, to w prywatnym mieszkaniu. System wynajmowania kwater prywatnych za pośrednictwem Ibuszu (tamtejszy „Orbis”) (u nas znany tylko podczas targów) — jest tam stosowany z powodzeniem przez cały rok.

W przyszłym pięcioleciu Budapeszt wzbogaci się o około 5 000 miejsc hotelowych. Drugie tyle zbuduje się nad Balatonem. By na przyszłość uniknąć tegorocznych trudności, wszystkie nowe hotele przystosowane mają być do użytkowania także w zimie.

Węgrzy zdają sobie sprawę, że turystyka zagraniczna, to doskonały interes. Hotelarstwo urasta tam do rangi jednej z ważniejszych gałęzi gospodarki. Wiadomo: najopłacalniejsze jest wynajmowanie noclegów w hotelach. Każdy hotel może być szybko rentującą inwestycją.

A robi się na Węgrzech znacznie więcej niż u nas, by zachęcić turystę do zamieszkania w hotelu. Nikt nie występuje tam z tak „rewelacyjnymi” projektami, jak np. w Zakopanem, gdzie jeden z hoteli wprowadził czyszczenie butów za dodatkową opłatą. Takie ułatwienia (w niektórych hotelach nawet wypożyczanie elektrycznych maszynek do golienia) są zawsze bezpłatne.

W „moim” hotelu znajdują nadto na biurku firmowy notes, prospekty turystyczne i reklamujące miejscowe instytucje kulturalne, papier listowy, koperły, w szafie — poduszeczka z przyborami do zycia. Niby drobiazgi, a jednak one właśnie stwarzają atmosferę, dzięki której czuje, że gospodarzom zależy na tym, bym tutaj właśnie mieszkał, bym czuł się jak najlepiej.

Właśnie w staraniach, by turysta czuł się dobrze, by ułatwić jemu pobyt na Węgrzech upatruję jedno ze źródeł — kto wie czy nie najważniejsze — turystycznej mody na ten kraj.

Węgrzy otworzyli szeroko granicę przejęcia nie tylko dla przyszłowiowych bogatych wujasków, którzy z góry i to w dolarach opłacają koszty hotelu i wyżywienia. Nawet dla nich znieśli ten obowiązek. Oczywiście, takimi turystami tam nikt nie gardzi, ale Węgrzy — w każdym

Poznańscy
pisarze

ALEKSANDER ROGALSKI

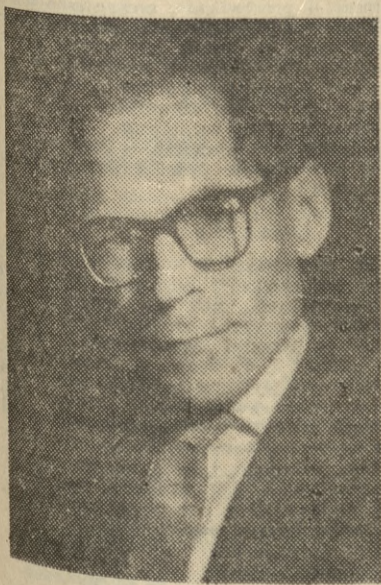
Jest pisarzem, publicystą i naukowcem. Badaczem kultur i literatur europejskich, eseistą i uczonym wyjątkowo wrażliwym na sprawy polityki i teraźniejszości. Interesuje się historią Europy, filozofią i problematyką współczesnych Niemiec. Czyta setki książek, konfrontuje je nieustannie ze sobą, bada ich współzależność i ustala związki przyczynowe pomiędzy różnymi faktami. Ciągłe czytanie, ciągłe pracuje.

W pokoiku, w którym rozmawiamy są setki książek. Aleksander Rogalski mieszka właściwie w wielkiej, prywatnej bibliotece. Książki otaczają go ze wszystkich stron. Polskie, niemieckie, angielskie, francuskie. Kiedy ma ich jeszcze za mało, idzie do bibliotek i archiwów. Jest człowiekiem nieustającej pracy. Studiował polonistykę i socjologię. Ma doktorat filozofii. Zadebiutował

jako publicysta w 1946 r. Pierwszą samodzielną pozycję książkową wydał w Poznaniu w rok później. Był to zbiór artykułów zatytułowany: „Już nigdy wojny”. W latach następnych napisał trzy tomy studiów o katolicyzmie w Niemczech oraz na Śląsku i na Warmii. Rok 1958 przyniósł trzy dalsze tomy esejów i studiów: „Literatura i cywilizacja”, „Profile i preteksty”, „W kręgu Nibelungów”. Rok następny — tom szkiców o kulturze i cywilizacji pod tytułem: „Dramat naszego czasu”. W 1960 r. wydaje wielki tom poświęcony analizie związków i zależności kulturalno-literackich „Rosja — Europa”. Wreszcie najważniejsze pozycje ostatnich lat: zbiór szkiców o literaturze niemieckiej „Zbliżenia” i pierwsza wielka polska monografia Tomasza Manna zatytułowana

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 2



Nowa wystawa i nowa galeria

Znowu mamy na wystawach dużo plastyki. Tego samego dnia, bardzo szumnie otwarta została w „Arsenale” wystawa prac Marii Chudoby-Wisniewskiej, a w parę zaledwie godzin później nie tylko wystawa, ale i cała podziemna galeria plastyczna w piwnicach klubu „Od nowa”. Zaczniemy jednak chronologicznie i od pań. Maria Chudoba-Wisniewska przewiozła dużą, po części retrospektywną, wystawę rzeźby, rysunku i malarstwa zatytułowaną przez siebie samą „Moja twórczość i Szczawnica”. Poznańska artystka od paru lat jest etatową rzeźbiarką tego uzdrowiska, znajdując w jego dystryktach znakomity mecenat. Dzięki niemu zrealizowała już w szczawnickich parkach i ogrodach kilkanaście większych rzeźb w żelbetonie i betonie, co plastynom naszym nieczęsto przebiega. Oczywiście, nie wi-

PLASTYKA

dzieliśmy ich na wystawie, pozostały w Zdrojowym Parku. Do Poznania przyjechały za to drobniejsze rzeźby, studia wstępne do większych założeń, wreszcie rysunki i obrazy. Rzeźba Wisniewskiej jest kameralna, intymna. Jej swobodna stylizacja prowadzi do osobliwej i niebanalnej w swym wyrazie nastrojowości i poetyki. Rzeźby jej mają świadomie antymonumentalny charakter, lekkość, dużą precyzję i swobodę gestu i pozy zastępywane w nagłym bezruchu. Pracą tym nie obca jest też deformacja, ale pojęta raczej jako środek wyeksponowania szczegółu, jako akcent wzmacniający siłę wyrazu. Rysunki olejne zgromadzone w cyklu portretów zwierząt trzeba przyznać, że również są interesujące, lekkie i dowcipne. Znacznie gorzej jest tylko malarstwo. Dużej klasy rzeźbiarka pokazała tu dużo bardzo niedobrych obrazów. Bardzo tradycyjnych i powierchowych w swej pseudoludowej stylizacji.

W piwnicach klubu „Od nowa” mamy nową, interesującą pomyślaną, galerię wystawową. Galerie o własnym, odrębnym od innych, statusie i bardzo oryginalnych założeniach. Kierownictwo klubu przekazało ją obecnie pierwszemu plastynom w dzierżawę i wynajem. Na nich spada teraz ciężar i obowiązek zmieniania ekspozycji i zapraszania innych plastyków do współpracy. Oczywiście tak pomyślana galeria nie ma być jeszcze jednym salonom wystawowym dla szerokiej publiczności (choć i ta bardzo mile tam będzie widziana), lecz miejscem roboczych konfrontacji samych plastyków. Pierwszymi gospodarzami piwniczki zostali dwaj plastycy o dużych indywidualnościach artystycznych i ustalonej już pozycji: Janusz Bersz i Jan Bardyszak.

Można spodziewać się, że tak forma i treść ekspozycji jak i wyznaczone nazwiskami autorów profil tej galerii wywołają w poznańskim środowisku plastycznym jakiś poważniejszy, a od dawna oczekiwany dyskusję.

O. B.

ALEKSANDER ROGALSKI

Dokończenie ze str. 1

„Most nad przepaścią”. Ta ostatnia pozycja, podobnie jak i wcześniejszy tom o związkach kulturalnych Rosji z Europą, zajęły w dotychczasowym dorobku pisarskim Aleksandra Rogalskiego zupełnie szczególne pozycje. Ich rozgłos wyszedł poza granicę kraju. Recenzowane były w dziesiątkach czasopism zagranicznych, w paryskich „Studes Germaniques”, w madryckiej „Revista orientale”, w monachijskim „Jahrbuecher fuer Osteuropa Geschichte”, francuskiej „Revue Sociologique”, berlińskim „Union-Press - Dienst” czy w Biuletynie Uniwersytetu w Tuluzie, a nawet i w nieskorych do dostarczenia dorobku polskiego, wydawnictwach paryskiej „Kultury”.

Siedząc w pokoiku pełnym książek, u autora siedemnastu tomów eseji, krytyk literackich i prac publicystyczno-naukowych rozmawiać chce oczywiście o nich.

— Przede wszystkim interesuje nas nad czym pan obecnie pracuje? — pytam na wstępie Aleksandra Rogalskiego. — Jakie nowe książki wkrótce poznamy?

— Będzie ich kilka — odpowiada autor „Mostu nad przepaścią”. — Za parę miesięcy ukaże się w Warszawie tom zatytułowany „Konfrontacje”. Będzie tam mowa o wzajemnych stosunkach i inspiracjach literatury rosyjskiej z literaturami krajów skandynawskich oraz włoską i amerykańską. W tej chwili siedzę nad książką, którą piszę dla „Wydawnictwa Poznańskiego”. Zatyłowałem ją „Pasażerowie arki Noego”.

— Tytuł trochę dziwny, ale domyślam się, że będzie to książka o pisarzach w Niemczech hitlerowskich. O pisarzach żyjących w czasach potopu?

— Tak. W literackich ujęciach okresu hitleryzmu często spotyka się to określenie „Arka Noego”, lub „potop” i to w podwójnym sensie jako katastrofizm żywiołowego i jako obrazu ukazującego heroiczne próby ratowania szczątków świata trwałych wartości. W książce tej chciałbym pokazać nieznanych, lub bardzo mało znanych pisarzy niemieckich, którzy stawili czoła hitleryzmowi; bądź to walcząc z nim na

emigracji, bądź skazując się na samotność i milczenie. Przez długie lata dyktatury hitlerowskiej pisarze ci popadli niemal całkowicie w zapomnienie, w naturalnym organicznym rozwoju literatury niemieckiej nastąpiła katastrofalna wyrwa. Dopiero niedawno podjęto próby ekszumowania tych pisarzy. Autorem tym poświęcam swą książkę.

— Ciekawi jesteśmy ich nazwisk, o jakich pisarzach będzie w niej mowa?

— Na czoło wysuwają się tu postacie: Karola Krausa, Elzy Lasker-Schüler, Hansa Henny Jahna, Georga Kaisera, Ernesta Barlach, Henryka Manna i innych.

— A może teraz parę słów o następnej z książek. O czym będzie ta trzecia?

— Ta właściwie jest już na ukończeniu. Zatyłowałem ją „Za kulami Musgerau”. Przedstawiam w niej III Rzeszę od strony kuchni; w ostatnich miesiącach jej istnienia. Gdy na zewnątrz broniła się jeszcze terrorem, ale od wewnątrz nie potrafiła już bronić się przed zderzającymi ją słabościami. Książkę tę napisałem w oparciu o raporty napływające do Greisera z całego terenu „Warthegau” od funkcjonariuszy Gestapo. Mówią one o nastrojach ludności polskiej i niemieckiej, o tym jak reaguje ona na zbliżające się linie frontu. Jak różnorodnie układa się ich stosunek do Rzeszy, jak zalamuje się ona od wewnątrz, jak pęka.

— Poznałszy już trzy książki, a czwarta?

— Niedawno zawarłem umowę z Wydawnictwem Poznańskim na książkę na temat literatury skandynawskiej. Literatura ta jest bardzo interesująca i chętnie w Polsce czytana. Nie mamy jednak dotąd żadnego przewodnika po niej, ani żadnego syntetycznego jej opracowania. Zaczynam już zbierać pierwsze materiały do tej książki.

A więc nowa praca, nowe książki, setki stron do wertowania i czytania. Nie przeszkadzają.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Eugeniusz Pauksta

Sezon jesienny

Sezon jesienny w całej pełni wydawniczej. Dziesiątki świetnych, godnych polecenia książek, wzmożone zakupy do małych i wielkich bibliotek...

Przepiękna to pozycja, wydane przez „Ossolineum” w albumowej formie, studium Władysława Jaworskiej „Tadeusz Makowski — życie i twórczość”, pierwsza próba generalnego, wnikliwego spojrzenia na twórczość wybitnego malarza, wielkiego samotnika z daryskiej pracowni, zarówno swoją osobą jak i rozmiarami zamysłów twórczych pozostającego więcej legendą niż realnym konkretem. Jaworska przełamując legendę, w oparciu o żmudnie zebrane fakty, a zwłaszcza o gruntowną analizę dzieł wielkiego artysty, przywraca niejako Makowskiego naszej świadomości. Tekst uzupełnia blisko dwadzieścia dobrze oddanych reprodukcji.

Skończyłem przy „Ossolineum”, wario polecił kolejną tom z cyklu prac o przyrodzie Śląska, mianowicie Eugeniusza Kuźniewskiego „Skarby przyrody Dolnego Śląska”, ciekawie i przystępnie, mimo całego erudycyjnego bagażu napisana pracę o osobliwościach flory i fauny na Dolnym Śląsku. Liczne fotografie, szkoda tylko, że nie zawsze najpierwszej jakości w odbicie reprodukcyjnej. W związku z 600-leciem uczelni krakowskiej wydana została popularnie potraktowana monografia pisma Jana Dąbrowskiego „Kazimierz Wielki, twórca Korony Królestwa Polskiego”, obiektywnie oceniająca rolę monarchii w budowie i umacnianiu polskiej państwowości. Jako szczególny rarytas przyjęła zostanie przez miłośników poezji i rodzajowego folkloru antologia poezji ludowej Żydów Polskich „Rozdźwięki z migdałami” w przekładach i opracowaniu Jerzego Ficowskiego. Bardzo to ciekawy i wzruszający niekiedy sentymentem swych tekstów tomik. Ficowski ujął właściwie dobrać utwory, tym samym przekazał nam to, co najbardziej reprezentatywne w żydowskiej poezji ludowej. Nie lada rarytasem edytorskim stało się nowe, przejrane i poszerzone wydanie arcywiednej pracy Kazimierza Kumanińskiego „Historia kul-

tury starożytnej Grecji i Rzymu” (Nakładem PWN). Nie ma u nas pracy o Grecji i Rzymie, jasnością, głębią i przystępnością wykładu zarazem, dorównującej pracy prof. Kumanińskiego. Sygnalizuje ukazanie się tomu, jako że nie będzie na pewno zalegał polek księgarskich, a pozycja to w każdej domowej bibliotece właściwie nieodzowna.

A teraz dwie zgola uroczyste książki związane ze światem zwierząt. W wypieszczonej graficznie formie ukazana się w „Naszej Księgarni” głośna książka Berharda Grzimeka „Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt”, znana także i z filmu, dzieje wypraw afrykańskich ojca i syna, samochodami i samolotem, wyłącznie z kamerą fotograficzną, wypraw przynoszących w efekcie smutny wniosek, iż dzikim zwierzętom grozi zagłada. Piękna, humanistyczna, uroczą napisana książka, przystępna dla czytelników w każdym wieku. Jednocześnie w „Iskrach” ukazał się pierwszy tom z wielkiego zamierzonego cyklu Jana Zabińskiego pt. „Z życia zwierząt”, mieszczącego swobodnie uszeregowane artykuły, a może portrety, a może opowieści o poszczególnych przedstawicielach wielkiego zwierzęcego rodu. Jakże ten Zabiński świetnie umie opowiadać o swych pupilach, jak je doskonale przedstawia i przybliża czytelnikowi!

I jeszcze dwie pozycje rodzimego Wydawnictwa Poznańskiego. Chce zwrócić uwagę na nowy tomik poetycki Ryszarda Daneckiego „Afrysiabe”, przynoszący poetycki plon podróży autora do Azji Środkowej. Wydaje mi się, że to najdojrzalszy tomik w dorobku poety, przesiąknięty żywym, autentycznym wzruszeniem wynikającym z istotnego przeżycia. Danecki umie patrzeć a z kolei umie swe odczucia przełamać w zamknięty kształt poetycki. Z przekładów niemieckich otrzymaliśmy w tymże wydawnictwie „Pogon z Kumerowa” Ethna Welka, pierwsza część wielkiego cyklu, trwałej pozycji w dorobku sędziwego pisarza. Akcja łączy się jeszcze przed pierwszą wojną, ukazuje osobliwy, intensywny świat przeżyć dziecięcych pozostający w konflikcie ze światem dorosłych. Duża wnikliwość psychologiczna, dar obserwacji, ślad kapitalnie nieraz obrazki obyczajowe, jakimi optymistycznie paleniska na życie, sprawiają, iż książkę tę czyta się z zainteresowaniem.

Z książką na ty

Gościnność i zmysł handlowy

Dokończenie ze str. 1

razie lepiej niż my — zdają sobie sprawę, że jedynie na takich gościach nie można opierać tak poważnego interesu jak turystyka. Dlatego ułatwiają przyjazd jak największej liczbie turystów.

Od bieżącego roku gości z Polski i Czechosłowacji przyjmuje się bez wiz i zaproszeń. Węgrzy — w opinii znawców przedmiotu — są jednym z niewielu krajów w całej Europie, w których turysta starający się o wizę, otrzymuje ją najpóźniej w 24 godzinach.

Każdemu turyście (nie tylko dolarowemu) ułatwia się wymianę waluty. Nie trzeba fatygować się do banku, ani hotelu jeśli się mieszka np. prywatnie lub na kempingu; wystarczy pójść na dworzec czy jakiegokolwiek biura Ibuszu. Wymienione turysta zostawi nie gdzie indziej, jak na Węgrzech. A to się opłaca. — Łatwiej bowiem — rozumują Węgrzy — sprzedaje się towar obcokrajowcom w sklepie detalicznym niż za pośrednictwem central handlu zagranicznego. I gatunek nie musi być „ekstra” i mniej z tym zachodu.

Przy pomocy urzędów celnych prowadzi się nawet badania, jakich

towarów zagraniczni turyści zakupują najwięcej. Po to, by ich nigdy nie brakowało w miejscowościach najbardziej przez turystów uczęszczanych.

Na każdym kroku stwarza się przybywzowi okazję wydania pieniędzy. Służą temu m. in. kioski w hotelach, które sprzedają pamiątki nie tylko za dolary, turnieje rycerskie, organizowane na starych zamkach, uroczyste święta winobrania, a także świniojebia w hotelowych restauracjach. Wygodzie turystów służą zaś ekspresy kawowe, zainstalowane także w przyhotelowych fryzjerniach małe bistra przy stacjach benzynowych. Tych ostatnich jest tu mnóstwo, a o tym, gdzie się znajdują, zmotoryzowany turysta dowiaduje się zaraz po przekroczeniu granicy — z książeczek informacyjnych rozdawanych z inicjatywy węgierskiego Automobilklubu.

Jeśli znajdziesz się na kempingu, to nie jest to tylko pole oznaczone tablicą, że właśnie tu wolno stawiać namioty. Można tam za stosunkowo niewielką opłatą wypożyczyć namiot z łóżkiem, lampą, kuchenką a nawet butelką z gazem. Na kempingu nie będziesz miał kłopotu z zakupem żywności, wypraniem bielejzy, wysłaniem listu czy telegramu.

Są to, oczywiście, okazje do wydawania pieniędzy, bo za usługi — jak wszędzie trzeba płacić. Ale są to usługi niedrogie i ułatwiające turyście życie.

Można powiedzieć — wzór gościnności i zmysłu handlowego zarazem.

TADEUSZ KACZMAREK



Na dobre rozgorzała dyskusja na temat koncepcji współczesnego uniwersytetu, działającego w naszych warunkach ustrojowych. Publicznie po raz pierwszy poruszano ten temat z okazji 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego, później we wrześniu br. dyskusję zainicjował miesięcznik „Nowe Drogi”, a teraz aż kilka tygodników pisze o tym problemie. Nowa okazja było seminarium na temat socjalistycznej koncepcji uniwersytetu, zorganizowane w Lublinie w związku z XX-leciem Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie.

SOCJALISTYCZNA KONCEPCJA UNIwersYTETU

To tytuł wypowiedzi prof. dr. Jana Szczepańskiego na łamach „Polityki”. Autor określa specyficzne cechy polskiego uniwersytetu socjalistycznego: praca w oparciu o centralnie ustalony plan, są upolitycznione przez włączenie w sieć instytucji państwowych, zostały oddzielone od innych typów wyższych uczelni. Dosłownie od innych typów wyższych uczelni, autor z naciskiem podkreśla:

„Moim zdaniem podstawową trudnością uniwersytetów jest brak stabilizacji, stan permanentnej reformy i zmian, najlepiej ilustrowany faktem, że na pięciu latach studiów jednego kierunku studenci uczą się według trzech różnych siatek i go-

dzin. (...) Przewyciężenie tej trudności leży chyba w dążeniu do przystosowywania uniwersytetów do podstawowych tendencji rozwojowych społeczeństwa socjalistycznego, a nie do każdej aktualnej zmiany w układzie instytucyj.”

PRAKTYKA ZATRUDNIENIA ABSOLWENTÓW

Tomasz Jarzembowski w artykule „Jaki ma być uniwersytet?” („Tygodnik Demokratyczny”) podnosi m. in. inną zasadniczą kwestię:

„Czy więc, miast krytykowania uniwersytetów za ich rzekomo przestarzałą strukturę ogólnego kształcenia, miast żądania profesjonalizacji studiów uniwersyteckich, jak to w niektórych głosach się słyszy — głównie zresztą ze strony rozczarowanych absolwentów, którym życie udowodnia nieprzydatność ich dyplomów — czy więc zamiast tych głosów, skłonnych całkowitą winę za istniejący stan rzeczy przypisywać uniwersytetom, nie należałoby podnieść ostrych słów krytyki pod adresem niewłaściwej praktyki zatrudniania absolwentów studiów uniwersyteckich?”

KSZTAŁCENIE DOROSŁYCH

Coraz więcej ludzi zdobywa u nas średnie i wyższe wykształcenie. Wielu z nich odczuwa potrzebę rozszerzenia swoich horyzontów intelektualnych. Potrzebę tego rodzaju rozbudzenia i zaspokajania u nas różne instytucje oświaty pozaszkolnej czy też oświaty dorosłych. Uniwersytet zaś (nie jego pracownicy) pozostaje poza tym szerokim mającym perspektywę dalszego rozwoju ruchem oświatowym. Bogdan Suchodolski proponuje w związku z tym na łamach

„Życia Literackiego”, by właśnie uniwersytet podjął się prowadzenia takiej akcji. Ma bowiem lepsze niż każda inna instytucja warunki: gromadzi wielu specjalistów z różnych dziedzin w większości uczonych pracujących twórczo.

„Wchodziłoby tu w grę — pisze autor — bardziej systematyczne kształcenie w zakresie dyscyplin podstawowych — zwłaszcza tych, w których postęp naukowy jest bardzo szybki. Kształcenie pracowników różnych zawodów w zakresie fizyki, matematyki, socjologii, ekonomii itd. mogłoby dawać wyniki znacznie lepsze niż krótkoterminowe prowadzone często przez niekompetentne siły kursy do kształtujące.”

BLISKA EGZOTYKA

Głośna stała się sprawa książki redaktora słowackiego pisma kulturalnego „Kultury Živo!” — Miaczki pt. „Spóźnione raporty”. Podjął w niej próbę tzw. obrachunków z przeszłości. Próbowano potraktować to dzieło jako sensację antysocjalistyczną i bez zgody autora/ przełumaczono je w NRF. Przeciwko temu autor zaprezentował tak stanowczo, że nie udzielił żadnej licencji nie tylko na zachód, ale i kraje socjalistyczne twierdząc, że utwór jego nie tylko mówi wyłącznie o stosunkach wewnętrznych ale i tylko w tych stosunkach „funkcjonuje pozytywnie”, bo na zewnątrz rzecz będzie tylko pustym skandalem. To rzadkie wyrobienie polityczne i moralne pisarza podkreślała uczestnicząca rozmowa, która odbyła się w redakcji „Kultury” na temat klimatu kulturalnego w Czechosłowacji. Nawiazuąc do decyzji Miaczki Janusz Wilhelmi powiedział:

„Myślę, że tego realizmu, który pozwala na daleko idące rozszerzenie swobód piśmiennych czy

w ogóle artystycznych, my w Polsce możemy się uczyć od naszych braci Czechów.”

NA TROPACH „A”

Takim tytułem opatrzone „Życie Gospodarcze” nowy cykl artykułów poświęconych naszym osiągnięciom i szansom związanym z nowoczesnością wyrobów przemysłu elektromaszynowego. Autorzy pierwszej publikacji Władysław Dudziński i Antoni Gułowski stwierdzają w oparciu o przykłady, że przemysł nasz stał na osiągnięciach, którymi chwalić się może wszędzie.

Dobrymi „ambasadorami” naszych zdolności w tej mierze są m. in. maszyny włókiennicze z Bielska, precyzyjne przyrządy optyczne z Warszawy, rybackie statki — przetworzone, nowoczesne tokarki rewolwerowe z „Cegielskiego”, maszyny cyfrowe. Dlaczego więc w dwóch lub więcej podobnych, zdawałoby się zakładach zasobność w wyroby najwyższej jakości (zjaw. grupy „A”) jednych bije na głowę inne? Jakże czynnik — finansowy, kadrowy, organizacyjny, techniczny, inwestycyjny, a może nawet ambicjonalny — odgrywa tu rolę główną? Rzucając te pytania autorzy zapraszają do dyspozycji.

Ponadto W. Malinowski w „Służbie Zdrowia” („Lekarz czy sekretarka?”) postuluje kształcenie sekretarek medycznych, tak by mogły przejąć część pracy sprawozdawczo-biurowej, która dotychczas obarczała są lekarze. „Współczesność” rozpoczyna druk „Słów” J. P. Sartre’a „Głos Nauczycielski” prawie całe wydanie poświęca problemom reformy szkolnictwa zawodowego. „Walka Młodych” postuluje jawność sesji egzaminacyjnej dla kandydatów na wyższe uczelnie i w związku z tym zniesienie tzw. rektorskiej puli miejsc, których pewnym procentem — jak wiadomo — rektor dysponować może według własnego uznania (feli-ton „Rektorska kula u nogi”).

LEKTOR